

W  
STRONĘ  
ANNY

BIOGRAFIA  
ANNY IWASZKIEWICZ

SYLWIA GÓRA

MARGINESY

Copyright © by Sylwia Góra  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

*Wszystkim kobietom,  
które pozostają w cieniu*

W domu stawiskim na mieszkalne piętro wiodły szerokie schody. Z podestu na prawo szło się do biblioteki i pracowni Jarosława, a na wprost – do wielkiego pokoju z balkonem, z dwoma żelaznymi łóżami z dawnej fabryki Lilpopa, z szafą rozłożystą i niby gotowalnianym stolikiem. To było miejsce rozmów z Hanią. Można więc było iść w stronę Jarosława i w stronę Hani.

PAWEŁ HERTZ, *W stronę Hani*



Anna Iwaszkiewicz w latach trzydziestych xx wieku

## PROLOG

To nie jest klasyczna biografia. Nie znajdziemy tu: „urodziła się, żyła, tworzyła, zmarła”. Będziemy poznawać Annę Iwaszkiewicz we fragmentach, jej postać będzie się odsłaniać po kawałku. Tak jak wtedy, kiedy na wakacjach rozsuwamy powoli zasłony w pokoju hotelowym, żeby ostatecznie zobaczyć krajobraz ciągnący się aż po sam horyzont. Ale tam dalej, za horyzontem, wciąż jest coś, co umyka naszym oczom. Podobnie jest z życiem Hani Lilpop, a potem Anny Iwaszkiewicz. Zawsze pozostanie coś, czego nie widać. Czasem zauważymy: „czegoś tu brakuje”. Anna Iwaszkiewicz nadal jest kobietą pełną tajemnic, których nie potrafię, ale też nie chcę odkryć.

Na jej życiu zaważyła decyzja jej matki, Jadwigi, o opuszczeniu rodziny dla Józefa Śliwińskiego i zmianie wyznania, by móc ponownie wyjść za mąż. Hania miała wówczas dwa lata. Dzieckiem opiekowali się ojciec, Stanisław Wilhelm Lilpop, i jego siostra Aniela Pilawitz. Stanisław chorował na depresję, leczył się między innymi u doktora Jana Gallusa, który będzie również lekarzem Anny. Choroba psychiczna jest tematem tabu w rodzinie Iwaszkiewiczów, a wcześniej Lilpopów. Pierwszy wspomniał o niej Piotr Mitzner w książce *Hania i Jarosław Iwaszkiewiczowie. Esej o małżeństwie*, nie pogłębił jednak tego tematu. Do dziś nie było „dobrego momentu”, żeby opowiedzieć o Annie, przyglądając się także depresji psychotycznej, na którą prawdopodobnie chorowała. Tak wynika z jej karty szpitalnej i mojej rozmowy z lekarzem psychiatrii, który zajmuje się badaniem historii zaburzeń psychicznych.

Choroba miała wpływ na życie nie tylko samej Anny, ale też całej rodziny, dlatego to właśnie od tego wątku zaczyna się ta opowieść. Jednak nie byłaby ona prawdziwa i pełna, gdyby całe życie Iwaszkiewicz czytać właśnie przez pryzmat zaburzeń psychicznych. Anna to utalentowana twórczyni, choć sama w to nie wierzyła. Czasy, społeczeństwo, w którym żyła, lektury, które czytała – wszystko to mówiło jej, że kobieta nigdy nie osiągnie tego, co może osiągnąć mężczyzna. Są oczywiście od tej reguły wyjątki, ale nie sądzi, aby to ona mogła być jednym z nich. A jednak zostawiła po sobie dzienniki, a także szkice, eseje, wspomnienia oraz tłumaczenia, które pokazują, że umiała snuć opowieści, potrafiła panować nad językiem, że miała szeroką wiedzę i dobre wyczucie stylu. Ale to jej mąż, Jarosław Iwaszkiewicz, był w ich domu twórcą. Ona pozostawała w cieniu, kreując dla niego przestrzeń, w której nic nie będzie go rozpraszać, w której będzie miał idealne warunki do pisania. Zawsze obecna, ale jakby tylko trochę, nienarzucająca się.

A jednak wielu gości Stawiska zabiegało o jej uwagę, uśmiech, rozmowę, dobre słowo. Miała doskonałą intuicję do poetów. Często to właśnie najpierw jej, z dużym zaufaniem, czytali swoje utwory choćby Jerzy Liebert czy Krzysztof Kamil Baczyński. Budowała wokół siebie niezwykłą aurę – osoby ciepłej, choć niezwykle zdystansowanej. Miała swoje zwyczaje czy – jak mówili niektórzy – „dziwactwa”. Część najpewniej wiązała się z chorobą, ale były też takie, które po prostu tworzyły jej osobowość.

Anna Iwaszkiewicz wciąż się chowa – ukrywa w swoim milczeniu i samotnych wyjazdach nad morze, w góry, do sanatoriów, gdzie „leczy nerwy”. Jedynie czasem nieco się odsłania: w zapiskach, które nazywa swoim pamiętnikiem, tłumaczeniach, wyborach czytelniczych, muzycznych, teatralnych, w słowach



pisanych w listach do męża, ciotki, przyjaciół, córek, wnuków. Nieoczywistość jej wyborów i opinii wprawia raz w zachwyt, innym razem w stupor.

Ta książka to także podróż, którą odbyłam – dosłowna i metaforyczna – śladami Anny Iwaszkiewicz. Nie pozostało ich wiele. Zaczniemy ją w Stawisku, kiedy Anna była już u schyłku życia. Opowiedzą o niej osoby, które ją znały – nie tylko wnuki, ale też przybrany syn Wiesław Kępiński czy sąsiad z Podkowy Leśnej Daniel Olbrychski. Pojawiający się mimochodem w tych rozmowach wątek choroby będzie rozwinięty w drugim rozdziale. Następnie przyjrzymy się najważniejszym wydarzeniom z jej życia – dzieciństwu i młodości, podczas których rodziły się pierwsze zainteresowania i fascynacje, lekturom, które czytała, podróżom, jakie odbyła, i ludziom, których podziwiała. Rozpad małżeństwa jej rodziców i odejście matki oraz późniejsza depresja jej ojca – to będą dwa kolejne duże tematy, które wpłyną na kruchą psychikę dziewczynki, a potem kobiety. Do tych dwóch relacji – z matką i z ojcem – będą dochodzić kolejne – z ciotką Pilawitzową, a potem z mężem Jarosławem Iwaszkiewiczem, Antonim Słonimskim, Marią Morską, córkami Marią i Teresą oraz wnukami Anusią i Maciusiem. Poznamy Annę tłumaczkę, eseistkę, ale też Annę pisarkę, bo jej dzienniki, a także przekłady literackie i książka, którą wydała pod koniec życia, pokazują, jaką literaturę mogłaby tworzyć. Będziemy jej towarzyszyć na wszystkich etapach życia, nie zawsze po kolei, zgodnie z linią czasu. Ale właśnie taka forma opowieści wydaje mi się najbliższa i najwłaściwsza mojej bohaterce, zdaje się bowiem odpowiadać tym wszystkim światom, które istniały w jej świadomości.

## GWIAZDOZBIÓR

Idzie szybko i pewnie. Nie czuje zmęczenia. Krok za krokiem. Jakby znów miała kilkanaście lat. Nie musi o niczym myśleć, rozwiązywać żadnych problemów, odpowiadać na pytania: „Czy dobrze się czujesz, Haniu? Czy wszystko w porządku?”. Po prostu idzie. Wokół tylko las, który zawsze był jej ostoją, dawał ukojenie. Od 1928 roku, kiedy zamieszkali tu całą rodziną, Stawisko zmieniało się wraz z nimi, z nią. Dojrzewało, otrzymywało i traciło, widziało narodziny i śmierć, słyszało głośny śmiech i rozpacz, znosiło wszelkie niepokoje i kryzysy, było schronieniem, ale i więzieniem. Oddychało. Tak jak ona teraz. Wdech, wydech, wdech, wydech. Te wszystkie lata, marzenia i plany – gdzie teraz są? Kim ona jest? Gdzie podziła się Hania, którą była kiedyś?

Z Anną Iwaszkiewicz w ostatnim roku jej życia, o czym wspominają jej wnuki, Anna Włodek i Maciej Włodek, było podobnie jak w latach trzydziestych xx wieku. Najprawdopodobniej doszło do nawrotu choroby – być może depresji psychicznej<sup>1</sup>. Oczywiście warto pamiętać, że Anna jest już wtedy ponad osiemdziesięcioletnią kobietą i w grę mogą wchodzić także choroby otępienne, które często pojawiają się w starszym wieku. Wnuk Anny, z którym rozmawiam jesienią 2022 roku, wraca pamięcią do tamtych miesięcy:

– W ostatnim roku życia, wiosną, babcia zaczęła okazywać jakąś nadmierną ruchliwość. Znikała na całe dni. Kiedyś wyszła z domu i doszła gdzieś za Turczynek. Szymon

Piotrowski – kierowca dziadków – czasem jeździł jej szukać. Właśnie w tym czasie ksiądz Kantorski uznał ją, jak się wtedy mówiło, za wariatkę. W ostatnich dwóch miesiącach przed babci śmiercią w zasadzie nie było z nią kontaktu<sup>2</sup>.

Anna spaceruje po Stawisku, rzadko się odzywa, zdaje się przebywać w zupełnie innym miejscu, a może też czasie. Miewa jednak przeblýski świadomości. Anna Włodek w trakcie naszej rozmowy zimą 2023 roku wspomina:

– W ostatnich latach nie zawsze była przytomna, miała nieobecne oczy, ale bywały takie sytuacje, że miała nagłe olśnienia. Pamiętam rozmowę przy stole, kiedy dziadek nie mógł sobie przypomnieć jakiegoś nazwiska i powiedział: „Haniu, no jakże się ta kobieta nazywała?”. Na co babcia spokojnie i pewnie podała mu nazwisko<sup>3</sup>.

Spacerując po Stawisku Annę pamięta ktoś jeszcze – Daniel Olbrychski, który zaczął pomieszkiwać nieopodal po tym, jak wziął udział w filmach Andrzeja Wajdy na podstawie opowiadań Iwaszkiewicza (*Brzezina* z 1970 roku i *Panny z Wilka* z 1979 roku). W czasie kręcenia *Brzeziny* konsultował się z pisarzem.

– Pod koniec lat siedemdziesiątych stałem się właścicielem działki z weekendowym domkiem w Podkowie Leśnej. Tej zachodniej, około stu metrów od Stawiska. Wieczorami, spacerując po zalesionych uliczkach, spotykałem idącą energicznie siwą, szczupłą kobietę. To była pani Ania. Na moje pozdrowienia nie odpowiadała. Mówiła coś do siebie. Nie zwracała na mnie uwagi. Nic dziwnego. Rozmawiała pewnie z Baczyńskim, Tuwimem, Lechoniem, Słonimskim, Ireną Krzywicką... Uśmiechała się. Pewnie była szczęśliwa<sup>4</sup>.

Pierwszy wpis w 1979 roku w *Dziennikach* Jarosława Iwaszkiewicza pochodzi z 8 stycznia. To treść trzech nekrologów



Anna w drodze do Morskiego Oka,  
początek lat siedemdziesiątych XX wieku

z gazety, które informują o śmierci Jadwigi Iwaszkiewicz, siostry pisarza. Choć już od 1977 roku przeczuwał<sup>5</sup>, że każdy kolejny rok naznaczony będzie śmiercią kogoś bliskiego, to jeszcze nie wiedział, że ten, który właśnie się zaczął, przyniesie również tę ogromną stratę. 23 grudnia 1979 roku notuje: „Dziś o g. 14.40 umarła Hania. Po takich mękach ostatnia chwila była spokojna i niespodziewana. Amen”<sup>6</sup>.

Anna Iwaszkiewicz została pochowana na cmentarzu w Brwinowie. To kilka kilometrów od Stawiska. Kilka minut samochodem i mniej więcej czterdzieści pięć minut spacerem z Muzeum imienia Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów, w które został zamieniony ich dawny dom. Nie ma wielkiego marmurowego pomnika. Płyta nagrobna jest prosta – płaska, położona bezpośrednio na wykopanym w ziemi grobie, ciemnoszara. Znajdują się na niej tylko imię i nazwisko oraz rok urodzenia i śmierci: 1897–1979. Na płycie, w górnym prawym rogu, stoi duży kamień – to upamiętnienie Jarosława Iwaszkiewicza. Na kamieniu wygrawerowano, podobnie jak u żony, tylko imię i nazwisko oraz rok urodzin i śmierci pisarza.

Wnuczka i wnuk Anny słabo pamiętają jej pogrzeb.

– Pamiętam tylko tyle, że babci trumna była otwarta, w przeciwieństwie do dziadka, który wyraźnie napisał, że sobie tego nie życzy. Babcia nie miała jakiejś szczególnej prośby co do pogrzebu – mówi Maciej Włodek.

Jego siostra Anna Włodek dodaje:

– Pogrzeb babci odbył się w kościele w Brwinowie. Było dużo ludzi, ale zupełnie nie pamiętam tych twarzy. Babcia zawsze powtarzała, że nie ma to jak umrzeć komuś na święta, a sama umarła 23 grudnia.

Dzień przed Wigilią, przed tą szczególną datą dla katoliczek i katolików, do których należała Anna Iwaszkiewicz. O jej wierze

zachowało się zresztą wiele rodzinnych wspomnień. Maciej pamięta jeszcze:

– Babcia miała za łazienką swój ołtarzyk. Tam, na niedużym obrusiku, stały figurka Matki Bożej z Lourdes i dwie świeczki, leżała książeczka do nabożeństwa. Czasem Zosia Dzieciół mówiła nam, żebyśmy z siostrą nie wchodzili do babci, bo się akurat modli.

Zofia Dzieciół to gosposia, która pracowała w Stawisku, z kilkuletnią przerwą, od 1956 roku do śmierci Iwaszkiewiczów, a potem została tu jako pracownica muzeum, aż do swojej śmierci w 2017 roku żyła w małym mieszkaniu wydzielonym z jego części. Nie miałam okazji jej poznać i zachęcić, by podzieliła się sekretami domu w Stawisku. Ale udało mi się spotkać z Wiesławem Kępińskim – mężczyzną, który jako młody chłopak trafił do Stawiska. Lubił mówić o sobie, że jest „przybranym synem” Iwaszkiewiczów. Wydaje się jednak, że ta relacja była o wiele bardziej skomplikowana. Zwłaszcza z Anną, która zdawała się nie żywić do młodego chłopaka wielkiej sympatii. Nie dlatego, że nie współczuła mu jego wielkiej tragedii, raczej dlatego, że relacja młodego mężczyzny i jej męża była naznaczona pewną niejasnością, która objawia się wprost w korespondencji Kępińskiego z Iwaszkiewiczem, a także w *Dziennikach* pisarza<sup>7</sup>. Najbliższe osoby zwracają jej uwagę na zainteresowanie Jarosława młodym chłopakiem, ich wspólne podróże, choćby do Sandomierza. Anna była tam z mężem zaledwie raz. Wiesław kilkakrotnie. Oczywiście ta relacja rozwija się z czasem.

Wiesław Kępiński, kiedy spotykam się z nim w sierpniu 2022 roku, ma dziewięćdziesiąt lat. Kilka miesięcy później, w lutym 2023 roku, przeczytałem informację o jego śmierci. Nasza rozmowa w większości była powtórzeniem tego, co sam napisał w książce *Upragniony syn Iwaszkiewiczów*, wydanej w 2019 roku.

Podczas rzezi mieszkańców Woli dokonanej przez Niemców w 1944 roku jako dwunastolatek uciekł przed plutonu egzekucyjnego, prawie cała jego rodzina została rozstrzelana. O tym, jak trzy lata później, już po wojnie, znalazł się w Stawisku, opowiadał wielokrotnie, mnie powtarza mniej więcej to samo:

– Po tym, jak przeżyłem egzekucję na Woli, w gazecie pojawiło się ogłoszenie, że młody chłopiec szuka domu. Odpowiedziało na nie kilka rodzin: profesor z Sieradza, który stracił synów, właściciel restauracji w Wałbrzychu, ale także Jarosław Iwaszkiewicz. Karolina Beylin, która prowadziła wtedy rubrykę w gazecie „Express Wieczorny”, znała państwa Iwaszkiewiczów. Moja siostra, u której wówczas mieszkałem, pojechała ze mną do redakcji gazety w Alejach Jerozolimskich i one dwie, jako dorosłe kobiety, rozmawiały ze sobą. I to Karolina Beylin przekonała moją siostrę, że Stawisko jest blisko Warszawy, że zna Iwaszkiewiczów i że to dobry dom. Zaraz po tym spotkaniu miałem pojechać do Teatru Polskiego do pana Iwaszkiewicza. To była zima, Warszawa była czarna, okropna. I tam przez portiera zostałem zaprowadzony do gabinetu Jarosława. Moja siostra omówiła z nim, że pojadę do Podkowy Leśnej i faktycznie będę tam mieszkał. Zajechaliśmy tam z siostrą w dniu, kiedy była impreza urodzinowa pana domu. Józio Zakrzewski, który też tam wtedy mieszkał, zaprowadził mnie do gabinetu Jarosława, poszedł do kuchni i przyniósł mnie i siostrze obiad<sup>8</sup>.

Ta znana opowieść pojawia się we wszystkim, co pisał i mówił Kępiński, ale w czasie naszej rozmowy dostaję od niego również jedną z notatek, które przygotowywał do książki roboczo zatytułowanej *Marginalia*. Ma numer 71 i nosi tytuł *Scenopis Boga*. To o tyle ciekawe, że Kępiński pod koniec życia swój los, poczynwszy od chwili uniknięcia śmierci przez rozstrzelanie, wytłumaczył sobie jako Boży plan. Z tego, co wiem, ten tekst



nie ukazał się drukiem za życia Kępińskiego. Może dlatego czytał mi go, a potem podarował, pełen emocji, bo sam wciąż „żył” tym, co napisał. Jest to zresztą – jak mówi zapisek na pierwszej stronie – wersja czwarta tego tekstu, poświęcił mu zatem sporo uwagi. Wyraźnie widoczne są w nim analogie do Drogi Krzyżowej czy Zmartwychwstania. A więc to Bóg zaprowadził młodego Wiesława Kępińskiego do Stawiska – przynajmniej tak uznał jako starszy człowiek. Taka perspektywa mogłaby się spodobać Annie Iwaszkiewicz. Jednak było inaczej. Kępiński kilkakrotnie wspomina z pewnym rozżaleniem w swojej książce i naszej rozmowie, że nigdy nie zaskarbił sobie sympatii „cioci Hani”.

Pani Anna, potem ciocia Hania, nigdy nie wykonała gestu, który pozwoliłby mi usiąść blisko niej na dłużej i słuchać tego wszystkiego, co byłoby dla mnie nauką i ciepłem słów. Tak mi brak było tego wszystkiego, co łączy się ze słowem matka. Może za dużo sobie wyobrażałem, za dużo chciałem mieć, żyjąc w tym domu – w Stawisku. Tak niewiele trzeba wysiłku, myślałem sobie, aby powiedzieć do mnie synu. Nie mam o to żalu, ale miałem. A ponieważ nie pojmowałem, jaki jest stan ducha cioci Hani, tak łatwo to przyjmowałem. Jednak była dla mnie osobą mądrą, delikatną i piękną. A z czasem coraz mi bliższą. Potem brakło już czasu. Byłem z nią do końca jej dni. Opierała się na moim ramieniu i długo chodziliśmy po holu. Mówiła do Jarosława:

– Patrz, jak Wiesio mi pomaga, tak mi lepiej.

– Tak, Haniu, widzę, widzę – odpowiadał Jarosław bardzo zmęczony.

Jeszcze nie tak dawno używała czułych i pięknych słów, pisząc do wnuków. Do mnie nigdy.<sup>9</sup>

Dlaczego Anna nie żywiła wielkiej sympatii do tego młodego chłopca, który trafił do ich domu, i nie okazywała mu czułości, już się nie dowiemy. Możemy tylko próbować wyjaśnić to obawą o jego relację z jej mężem, szukać przyczyny w jej chorobie, jak próbuje to po czasie robić sam Kępiński, lub po prostu przyjąć do wiadomości, że – najzwyczajniej w świecie – należał on do grona ludzi, którzy z tak zwyczajnych powodów jak osobowość, charakter czy zachowanie nie zyskali jej sympatii i przyjaźni.

Próbuję naprowadzić naszą rozmowę na Annę Iwaszkiewicz, ale widać, że łatwiej Wiesławowi Kępińskiemu mówić o Jarosławie. O cici Hani – jak ją nazywa – nieco trudniej. Jednak poświęcił jej wspomnienie, które również przygotowywał do wspomnianych już *Marginaliów*. Zapisek z numerem 140, 3c i datą 12 października 2021, zatytułowany *Stawisko*, dotyczy ich wspólnego nocnego spaceru, aby zobaczyć gwiazdy (podobny, ale dużo krótszy, pojawia się w *Upragnionym synu Iwaszkiewiczów*).

W pokoju sypialnym – nad kanapą – wisi obraz na desce malowany pt. *Pocałunek Judasza*. Bardzo mnie ten Judasz fascynował. Kiedyś, w Boże Narodzenie, a może Wielkanoc, Wiesiowi dano spać na kanapie pod Judaszem. Gościom przyjezdnym trzeba było udostępnić większe i wygodniejsze łóżko. Pisze ciocia Hania: „Wiesio spał u nas na kanapie, przypomniły mi się czasy popowstaniowe, kiedy ciągle ktoś u nas, na Stawisku, nocował”.

Ten sam pokój. W ramce za szybą scena pt. *Patrol powstańczy*. Bardzo nastrojowa i przejmująca ta scena, kiedy powstaniec na koniu mówi coś – może pyta się chłopów idących piaszczystą drogą, ogląda się za siebie – usłyszał bowiem daleki strzał (stąd inna nazwa obrazu

pana Gierymskiego – *Wystrzał*). Lubiłem się w niego wpatrywać, bardzo!

Przy łóżku cioci Hani wycięty z gazety widoczek – *Mgławica Magellana*. Jak mało wiedziałem o tym wszystkim – zatajonym. Ciocia Hania późnym wieczorem – z dala od światła domu – poprowadziła mnie kawałek lipową aleją i pokazała stronę północnego nieba: Dużą i Małą Niedźwiedzicę, Gwiazdę Polarną, Oriona i inne zapamiętane. Dziś mógłbym wskazać miejsce w alei lipowej, gdzie Anna Iwaszkiewiczowa rozświetliła choć trochę moje ciemności.

„Plejady to gwiazdozbiór już październikowy”.<sup>10</sup>

To, czego uczy się – często mimowolnie – w nowym domu, wykorzystuje w opowiadaniu o mieszkańcach Stawiska. Kępiński jako jeden z niewielu dokładnie pamięta Annę Iwaszkiewicz w trumnie i dzień jej pogrzebu, co opisuje w przywoływanej już książce.

W przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia, 23 grudnia, umarła pani Anna, najlepsza z ludzi, moja opiekunka. Pojechałem na Stawisko na cały dzień. Kiedy włożono ciało do trumny i stałem blisko niej, patrzyłem na panią Annę. Co sobie myślałem w tych chwilach? Dotknąłem jej smukłych dłoni. I zaraz przypomniał mi się czas, kiedy z ciocią Hanią oglądaliśmy kolorowe zdjęcie ołtarza mariackiego Wita Stwosza. Zachwycała się pięknymi dłońmi omdlewającej Madonny przy ukrzyżowanym synu. Dotknięcie dłoni Anny było jakby dotknięciem tych rąk z ołtarza, tak samo pięknych i zimnych. Przed pochowaniem cioci Hani w grobie zawieźliśmy ją do kaplicy cmentarnej w Brwinowie. Wróciliśmy przed dom niemal o zmierzchu. Szymek

zostawił nas – Jarosława i mnie – i poszedł sobie. Wszyscy inni się rozjechali. Jarosław, opierając się na lasce, nie może przekroczyć progu. Pocieszam go jak mogę. Mówię:

– Masz jeszcze nas, jestem i ja przy tobie.

– Ja nie będę już żyć bez Hani – odrzekł i tak strasznie się rozpłakał.<sup>11</sup>

Faktycznie niedługo po śmierci Anny, bo już 2 marca 1980 roku, Jarosław umiera. O jego pogrzeb nie muszę pytać. Wszyscy doskonale go pamiętają. Pochowanie w stroju górnika jest nieustającym tematem komentarzy. Publikacji o Iwaskiewiczach jest ogrom. Anna nawet po śmierci pozostaje w cieniu.

Anna Iwaskiewicz spełniała się z pewnością w roli babci. Anna i Maciej Włodkowie spędzili pierwsze lata swojego życia w Stawisku i wracali tam często także w dorosłości. Oboje pamiętają częste wspólne wyjazdy, najpierw nad morze, a potem w góry. Anna lubiła spędzać czas przede wszystkim w Ustce. Jej wnuczka wspomina:

– Jak byliśmy młodszy, mieliśmy na Stawisku opiekunki, ale bardzo dużo czasu spędzaliśmy z babcią. Wyjeżdżaliśmy razem latem do Ustki, a zimą do Rabki. Babcia naprawdę uwielbiała morze. Nie umiała pływać, ale lubiła fale. Miała taki jednoczęściowy brązowy kostium z wełny i zawsze mówiła, że kostium może być tylko z wełny. Nie wiem, kto jej go zrobił, ale nam z Maćkiem takie wełniane majteczki na drutach zrobiła mama. Pamiętam, że kiedyś płukałam te swoje majteczki i one nagle odpłynęły. Był wtedy z nami wujek Andrzej Pilawitz, syn babci Anieli Pilawitzowej, który wieczorem zażartował: „Anusiu, twoje majteczki już dopływają do brzegów Szwecji”. Babcia bardzo lubiła stać w morzu, aby uderzały w nią fale, i kiedyś nawet by utonęła, ale na szczęście ktoś szybko zareagował

i pomógł jej wyjść. Uwielbiała też wiklinowe kosze plażowe, w których potrafiła wysiadywać godzinami. Bardzo długo jeździliśmy do Ustki, ale potem Maciek zaczął się wspinać po górach i zmieniliśmy kierunek wyjazdów. Najpierw była Jaszczurówka. Babcia chciała być bliżej Maćka, więc sprowadzała cały sprzęt: liny, haki z Austrii. Maciek najpierw jeździł na te wspinaczki z księdzem Gniewniakiem z Brwinowa, który organizował wyjazdy dla młodzieży, a my z babcią wynajmowałyśmy wtedy dla siebie w Jaszczurówce pokój. Pamiętam, że chodziłyśmy na obiady do sióstr urszulanek. Czasami był z nami ktoś jeszcze, na przykład Jerzy Wertenstein, którego babcia bardzo chciała ochrzcić. Dziadek z nami nie wyjeżdżał. Latem w ogóle rzadko się ruszał ze Stawiska, chyba że do Sandomierza. Miał wtedy spokój i mógł pracować, bo „te bachory” – jak żartobliwie o nas mówił – mu nie przeszkadzały.

Maciej Włodek pamięta także:

– Na początku to były wyjazdy do Władysławowa i do Ustki. Chociaż akurat jedne wakacje w Ustce, chyba w 1951 roku, zakończyły się fatalnie, bo dostaliśmy z siostrą szkarlatyny i dziadek wysłał po nas samochód, żebyśmy wrócili na Stawisko.

Wnuczka przy okazji wyjazdów wspomina o kostiumie kąpielowym babci. Anna w młodości bardzo dbała o stroje i ubierała się zgodnie z obowiązującą modą. Jarosław również bardzo często wspominał, że jego żona zawsze doskonale prezentowała się na oficjalnych imprezach. Nie współgra to ze wspomnieniami wnuków, którzy pamiętają starszą Annę wciąż marznącą, zakładającą na siebie kilka warstw ubrań.

– Babcia miała dużo naprawdę pięknych rzeczy, ale na co dzień ubierała się strasznie. Była potwornie chuda, z roku na rok coraz chudsza, zawsze było jej zimno, więc zakładała po kilka warstw ubrań. Miała sporo wąskich spódnic, takich za kolano



Anna na plaży w Ustce, 1951

i mnóstwo swetrów oraz najróżniejszych chustek, szali i szalików. Akurat te szaliki to chyba mam po niej, bo też się bez nich nie ruszam. Wybierała kolory stonowane, tylko jedwabne chusty, które często przywoził nam ze swoich podróży dziadek, były kolorowe. A z drugiej strony – kiedy babcia z dziadkiem gdzieś wychodzili, na przykład do filharmonii czy teatru, ubierała się bardzo elegancko. Zawsze miała buty na zmianę. Szła w wygodnych, często ciężkich i brzydkich, ale w szatni zmieniała je na pantofle na obcasie. Jako młoda kobieta przywoziła sobie stroje z Paryża, które fundował jej ojciec – Stanisław Lilpop. Jej szafa stała w tzw. ubieralni, za łazienką, i tam trzymała swoje suknie. Pamiętam na przykład piękną białą, jedwabną sukienkę zapinaną na małe guziczki i białe pantofle na obcasie w srebrne kropeczki, ale szczerze powiedziawszy, nie wiem, kiedy je nosiła. Chyba tylko na takie oficjalne wyjścia. Na pięćdziesięciolecie ślubu dziadków babcia była ubrana w piękną szarą suknię uszytą przez krawcową. Miała też dużo naprawdę ładnych kostiumików. Jednak zawsze gdzieś coś jej powiewało, spadało. Kiedyś dziadek przywiózł jej z Moskwy gronostaje – taki żakiecik – i opowiadała mi, że będąc w kościele, rzuciła to okrycie na podłogę, żeby na nim klęknąć, bo nie chciała się przeziębic od zimnej posadzki. I raptem, chyba Jerzy Putrament, próbował jej te gronostaje wyciągnąć spod kolan, bo myślał, że upadły przypadkiem, a ona się z nim mocowała. Opisywała mi tę sytuację, zaśmiewając się do łez. Na Stawisku nie ma rzeczy po babci, bo po jej śmierci moja mama Maria i jej siostra Teresa porządkowały dom. Myślę, że po prostu te rzeczy komuś oddały. Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy, a w chwili, gdy moi dziadkowie umierali, ja byłam tuż przed porodem. Nie byłam przy babci, kiedy umierała, i nie mam pojęcia, co się dokładnie stało z tyloma rzeczami osobistymi i pamiątkami.

W Stawisku znajdziemy sporo rzeczy osobistych, bibelotów, notatek, a nawet ubrań po Jarosławie (część z nich można oglądać w muzeum na co dzień, inne tylko podczas oprowadzania w czasie Nocy Muzeów). Jednak po Annie faktycznie zostało raptem kilka drobiazgów, które zresztą niewiele nam o niej mówią. Jedynie we wspomnieniach wnuków zachowała się pamięć o codzienności i zwyczajach Anny, dlatego te rozmowy są tak cenne i przytaczam je tak obszernie.

Anna Włodek pamięta na przykład, jak kiedyś babcia pokazywała jej jasny pukiel swoich włosów, który schowała w jakiejś książce. Była sentymentalna i lubiła przechowywać rzeczy mające dla niej ważne, emocjonalne znaczenie. To właśnie imienniczka Hani opowiada mi o ulubionych smakach babci:

– Śmiała się, że lubi najbardziej rzeczy na literę k: koniak, kawę, kawior i katańskie malinowe pomarańcze. Dziadek, kiedy już chorowała, chodził na Polną do pani, która tam handlowała, i kupował babci kawior. Na kolację zawsze robiono grzanki, a jak pojawiały się rzodkiewki, to babcia się nimi wprost zjadała. No i był jeszcze kogel-mogel. A za figurką Matki Boskiej miała koniak. Lody były dla niej za zimne, trzeba było je zawsze rozpuścić. Szampan jej nie smakował, bo przeszkadzały jej bąbelki. A jak wypadało wypić, to mieszała go łyżeczką, żeby bąbelki się szybciej ulotniły. Kiedy faktycznie pojawiała się okazja do napicia się czegoś, to wołała kieliszek wódki. Babcia w zasadzie parzyła tylko kawę i robiła herbatę, ale pamiętam, że zawsze przypalała czajnik. Nie bardzo umiała zarządzić, co ma być na obiad, więc ostatecznie to kucharka decydowała, co przygotować. Za to w restauracji, choćby w Paryżu, babcia lubiła dobrze zjeść, na przykład solę.

Maciej Włodek pamięta za to, że Anna była wybredna:



– Pamiętam doskonale, że babcia miała, moim zdaniem, jakiś poważny problem ze smakiem, to było widać podczas wspólnych posiłków. Powtarzała na przykład, że nie lubi czosnku i żeby nie dodawać go do potraw, a kiedy już jadła, zupełnie go nie czuła, choć wszyscy inni tak. Poza tym miała poważne problemy z wątrobą w latach pięćdziesiątych. Pamiętam, że jeździła do Sopotu do ziołarza, który dość skutecznie wyleczył jej kamienie żółciowe.

We wspomnieniach pojawiają się też zwyczaje czy raczej pewne kompulsywne zachowania Anny Iwaszkiewicz. Z pewnością bardzo dużą wagę przywiązywała do higieny i zdrowia. Maciej Włodek pamięta, że przyjeżdżając do Stawiska jako nastolatek czy już dorosły, słyszał, jak babcia długo zostaje w łazience po tym, jak dziadek poszedł już spać. Wnuk wspomina, jak kiedyś Anna przyłapała go na nocnym czytaniu:

– Dziadek kładł się do łóżka koło godziny dwudziestej drugiej, tam jeszcze czytał, a babcia zostawała na nogach nawet do dwudziestej czwartej, bo miała swoje wieczorne rytuały. Nigdy nie było tak, że poszła się umyć i od razu kładła się spać. Zawsze krzątała się jeszcze z godzinę – wchodziła do łazienki i wychodziła, ale nikt nigdy nie pytał, co ona tam tyle czasu robi. Zgaduję, że były to jakieś zabiegi pielęgnacyjne. Ja wtedy zwykle coś czytałem, choć powinienem już spać, więc ciągle czuwałem z ręką przy wyłączniku światła, żeby babcia nie zauważyła, że u mnie się pali. Oczywiście kilka razy mnie przyłapała. Potem już na stałe przeniosła się do pokoju za łazienką, ale pod koniec życia wróciła do wspólnej sypialni, do dziadka. Z czego zresztą dziadek strasznie się śmiał i kiedyś nawet powiedział: „Hania poszła we Francji do spowiedzi i chyba jej ksiądz nakazał, żeby sypiała z mężem”.

W wielu wspomnieniach o Annie obecny jest też jej obsesyjny lęk przed zachorowaniem na gruźlicę. Możemy sobie

zatem wyobrazić, jak mogła się czuć, kiedy Jarosław odwiedzał Karola Szymanowskiego czy Jerzego Błęszyńskiego – robotnika z Brwinowa – lub gdy to oni przychodzili do Stawiska. Obaj ciężko chorowali na gruźlicę, a potem zmarli właśnie na tę chorobę. Wspomina jej wnuczka:

– Babcia panicznie bała się chorób, zwłaszcza gruźlicy. Pamiętam, kiedy Jerzy Błęszyński przychodził na Stawisko, to babcia zawsze dezynfekowała po nim wszystkie klamki w domu i balustradę przy schodach. Generalnie nie lubiła dotykać klamek, jak już umyła ręce, więc zamykała drzwi łokciem. Kiedy byliśmy z Maćkiem chorzy, to zakazywała nam wstawania z łóżka. Dosłownie. I wtedy wysuwali nas na łóżkach z pokoju na korytarz, żeby wywietrzyć pokój, nawet załatwialiśmy się do nocnika. Nam podobało się oglądanie życia na Stawisku z korytarza. Jednak to były jakieś higieniczne fobie babci.

Oprócz gruźlicy Anna martwi się też innymi możliwymi chorobami i niedyspozycjami. Martwi się nie tylko o siebie, ale – jak widzimy – także o bliskich. Ten lęk towarzyszy jej przez całe życie. W liście do Jarosława z 9 września 1931 roku pisała:

Syneczku najmilszy. Błagam cię, we Włoszech nie jedz żadnych paskudztw, żadnych *frutti di mare*, i owoce jedz czyste, i nie jedz w ogóle w żadnej brudnej restauracji (a we Włoszech to niełatwa rzecz), gdzie by ci jakąś brudną sałatę dali czy inną nieumytą surowiznę.<sup>12</sup>

Kilka dni później, 11 września, Jarosław odpisał żonie przebywającej wówczas w sanatorium w Monachium:

Do Włoch jadę do pensjonatu i nie będę jadł w brudnych restauracjach i garkuchniach, możesz się nie niepokoić

i nie denerwować. Widzę, że nie bardzo sanatorium działa na poprawienie twoich różnych manii.<sup>13</sup>

O problemach psychicznych Anny w domu Iwaszkiewiczów nie mówiło się wiele albo nie mówiło się wcale. Oczywiście lata międzywojenne czy powojenne to czas, kiedy w ogóle o kwestiach zdrowia psychicznego nie mówiono. Jednak w tej rodzinie po prostu się nie rozmawiało nawet o leczeniu Anny w Batowicach i w Tworkach. Pierwszy wspomniał o tym Piotr Mitzner w swojej książce *Hania i Jarosław Iwaszkiewiczowie. Esej o małżeństwie* wydanej po raz pierwszy w 2000 roku i wznowionej osiem lat później, pisząc między innymi:

Jeszcze w 1931 roku stan „nerwów” Anny był na tyle zły, że zdecydowała się na dłuższą kurację w Monachium, gdzie leczyła się z „manii” i „objawów nerwowych”. [...] W styczniu 1935 roku zaczęły się „objawy psychopatyczne”. Nie chciała wstawać z łóżka ani ubierać się, chowała się przed ludźmi. Na początku lutego, ulegając namowom męża, jedzie do Danii. Są razem około dwóch miesięcy. Tam następuje eksplozja choroby, załamanie nerwowe, ucieczka. Pod koniec marca Jarosław przywozi Annę do kraju, wprost do sanatorium dla nerwowo chorych w Barwicach<sup>14</sup>. W tym czasie otrzymuje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych decyzję o przeniesieniu na stanowisko pierwszego sekretarza konsulatu w Brukseli. W maju jest jednak jeszcze w Kopenhadze, prawdopodobnie organizuje przeprowadzkę do Belgii, gdzie zresztą pracować będzie tylko pół roku. Po krótkim pobycie w Barwicach Anna zostaje przeniesiona do Tworek, gdzie zajmuje się nią dr Gallus.<sup>15</sup>

Choroba Anny to klucz do zrozumienia szeregu jej decyzji. Lecz oprócz choroby jest jeszcze coś – odejście matki, kiedy Hania ma dwa lata. Jak to wydarzenie wpłynęło na życie dziewczynki, a potem dorosłej kobiety?